Historia zagubionej rodziny. Część 2.

O pasji w poszukiwaniu korzeni



Dwór 6 x pradziadków Bieniaszewskich w Wysokiej Głogowskiej.

Janusz Andrasz

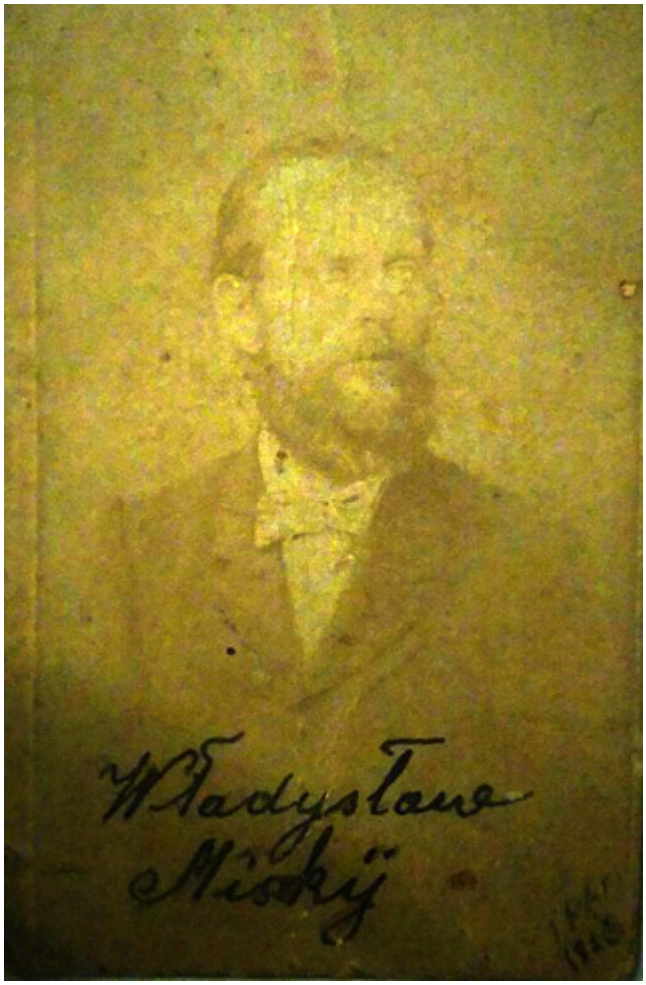
Pytania. Im więcej ich zadajemy, tym więcej się ich pojawia… Wciąż pytam i ciągle szukam. Czuję się, jak dziecko, któremu

ktoś rzucił pudełko z milionem *puzzli*. Zapewne kiedyś ułożę cały obraz. Pytanie tylko kiedy to się stanie, a raczej kiedy uznam, że obraz jest już pełen?

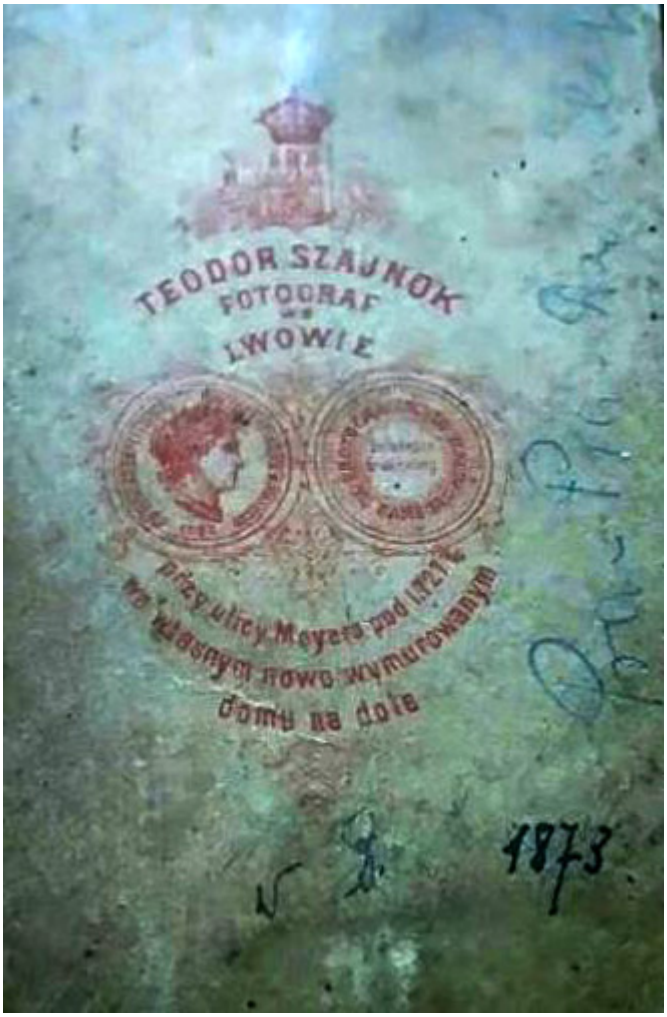
***

Władysław – przodek z fotografii

Tak jak wspomniałem, fotografię Władysława zobaczyłem po raz pierwszy dzięki mojej kuzynce – Barbarze Grunwald, prawnuczce Piotra Bielawskiego, który był bratem mojego pradziadka, Stanisława Bielawskiego. Oboje byli synami Stanisławy Misky, po mężu Bielawskiej, o której już wspominałem. Swoją drogą, to zabawne uczucie zobaczyć fotografię zrobioną ok. roku 1870, na ekranie swojego smartfona. Oryginał fotografii oraz Barbarę i jej rodzinę, zobaczyłem dopiero rok później, odwiedzając ich w Wielbarku, dokąd zawierucha wojenna zawiała ich po II wojnie światowej.



Władysław Misky – fotografia od której wszystko się zaczęło.



Władysław Misky – rewers.

Jan Władysław Franciszek, bo takie imiona nadano na chrzcie mojemu 4 x pradziadkowi, urodził się 16.06.1835 r. w majątku swojego ojca, Bziance. Dzisiaj jest ona już częścią Rzeszowa. Władysław (bo tego imienia używał na co dzień), uczęszczał do rzeszowskiego gimnazjum, którego absolwentem został w roku 1853. Następnie przez jeden semestr był studentem UJ na Wydziale Filozoficznym. Więcej na temat jego wykształcenia nie udało mi się ustalić. Podczas studiów w Krakowie był oddany pod opiekę lekarza wojskowego, Fryderyka Raspa.

Myślę, że Władysław i jego ojciec Karol zapisali się w sposób dość niezwykły w dziejach rzeszowskiego gimnazjum, ofiarując do jego zbiorów ogromną czaszkę mamuta, wydobytą na ziemiach należących do Karola Misky. W zbiorach obecnego radnego Rzeszowa, mieszkającego w Bziance, pana Kamila Skwiruta, zachował się list Jana Daszkiewicza, ówczesnego dyrektora rzeszowskiego gimnazjum. Dziękuje on w nim za przekazany dar. Czaszka znajduje się dzisiaj w zbiorach krakowskiego Muzeum Przyrodniczego PAN. To nie były jedyne wykopaliska, w których brał udział Władysław. Na terenie majątku należącego do jego przyszłego teścia, Roberta Rungego z Morawska i zapewne pod jego okiem, w czerwcu 1855 r. uczestniczył on w rozkopaniu znajdującego się tam kurhanu, pochodzącego z czasu tak zwanej „kultury ceramiki sznurowej", datowanej na III tysiąclecie p.n.e. Wszystkie znaleziska zostały przez 20-letniego Władysława starannie opisane i zawiezione 12 listopada 1856 r do Muzeum Starożytności (obecne Muzeum Archeologiczne) w Krakowie.

Skoro już wspomniałem osobę teścia Władysława, warto by również przejść do ożenku mojego 4 x pradziadka. Wybranką jego serca została Waleria Runge, córka właściciela majątku Morawsko, leżącego w okolicy Jarosławia. O Walerii urodzonej w 1841 r. niczego się nie dowiedziałem. W tych czasach znakomita większość kobiet znajdowała się w cieniu męża i o nich rzadko pisało się w prasie. Zagadką jest też dla mnie, gdzie mieszkali

państwo młodzi zaraz po ślubie, który zawarli 10.10. 1857 r. W zapowiedziach kościelnych jako miejsce zamieszkania Władysława podana została Munina – wioska znajdująca się obok Morawska. Dlaczego akurat tam mieszkał? Prawdę mówiąc, to nie wiem, czy potem mieszkał w Muninie, w majątku swojego ojca – Bziance, czy może już gdzieś na Podolu? Z notatek w „Kurierze Lwowskim" za rok 1958 dowiedziałem się, że był częstym gościem we Lwowie. Kilka lat później wymieniany jest jako właściciel, lub zarządca kilku majątków na Podolu. Jest dla mnie niewiadomą co łączyło go z tymi miejscami.



Ferdynand Runge, fot. Muzeum w Jarosławiu.

Rodzina Runge

Runge, podobnie jak i rodzina Miskych, „rozpłynęła się” w mrokach, przecież nie aż tak odległych czasów. Proces

odtwarzania przeze mnie jej dziejów wciąż trwa, bo ku mojemu zdziwieniu, była to rodzina całkiem liczna. Mimo to, na przestrzeni ostatnich dwustu lat została praktycznie zapomniana.

Najwcześniejsze wzmianki o nazwisku Runge na Podkarpaciu z którymi się zetknąłem pochodzą z końca XVIII w. Mówią one o moim 6 x pradziadku, Janie Fryderyku Runge (prawd. 1769 – 1838 r.). Miał on pochodzić z terenów dzisiejszej Austrii, chociaż jedna z odnalezionych przeze mnie członkiń rodziny Runge twierdzi, iż w jej domu mówiło się, iż „nasi" Rungowie pochodzą od Rungów, z których wywodzi się przedstawiciel niemieckiego malarstwa doby romantyzmu – Philipp Otto Runge (1777 – 1810 r.), a więc w grę wchodziłyby tereny Meklemburgii. Materiałów na temat rodzin noszących to nazwisko, a mieszkających w różnych regionach dawnej Rzeszy Niemieckiej, jest sporo i z pewnością upłynie jeszcze trochę wody, zanim dowiem się, z którą z nich jest związana moja gałąź Rungów.

Jan Fryderyk Runge ożenił się z Elżbietą Litzke, córką Karola Gottlieba Litzke, Niemca z Pomorza Gdańskiego. Ten ostatni pojawił się w Jarosławiu, aby w roku 1777 założyć tu fabrykę produkującą sukno na potrzeby wojska. Interes najwidoczniej musiał się świetnie rozwijać, bo w 1790 r. wraz z żoną zakupili w najbliższej okolicy kilka majątków ziemskich, m.in. Wiewiórkę, Różę, czy Jaźwiny. Na potrzeby wspomnianej fabryki sukna Litzkowie dzierżyli też ziemie poklasztorne – Morawsko i

Kidałowice, które za jakiś czas zostały przez nich zakupione na licytacji. Małżeństwo Runge stało się też właścicielami pałacyku (znanego dzisiaj pod nazwą „Dwór Rungów"), położonego w samym centrum Jarosławia (obecnie przy ul. Jana Pawła II), który odkupili od Czartoryskich. Razem z kuzynką, pochodzącą również z rodziny Runge, mieliśmy okazję zobaczyć go podczas ubiegłorocznej wyprawy śladami naszych przodków. Pałacyk znajduje się niestety w stanie totalnej ruiny. Zapewne dzisiejsi jego właściciele czekają aż się rozpadnie całkowicie ze starości i będą mogli sprzedać teren.

Szkocki wątek

Zanim opowiem dalej o rodzinie Runge, muszę wspomnieć o pewnym, rozwojowym wątku. Dotyczy on żony wspomnianego Karola Gottlieba Litzke. Była nią Katarzyna z domu … Watson. Poślubiła ona Karola Gottlieba 10 maja 1767 r. w kościele Mariackim w Krakowie. I już tutaj rozpoczynają się zagadki. Informacja ta pochodzi z publikacji ks. Jana Sygańskiego z 1912 r. „Metryki kościoła Maryackiego i katedry na Wawelu w Krakowie". Dowiedziałem się z niej, że w chwili zawarcia małżeństwa, Katarzyna była wdową a jej pierwszym mężem był nieznany z imienia … Lindsay! Jak więc widać, swój ciągnął do swojego – i Watson i Lindsay to nazwiska pochodzące ze Szkocji.

Mimo dużych poszukiwań, nie udało mi się odnaleźć żadnych informacji na temat rodziców Katarzyny, ani też jej męża Lindsay'a. Podczas mojego pobytu w krakowskim oddziale Archiwum Narodowego, miałem natomiast okazję zobaczyć bardzo ciekawą pomiątkę po pewnym Jakubie Lindsay'u, mieszkającym w XVII w. w Krakowie właśnie, ubiegającym się o przyjęcie go do ...cechu garncarzy! Do podania dołączony był rodowód Jakuba, nadesłany ze Szkocji, wraz z jego rozrysowanym drzewem genealogicznym. Rodzina Lindsay d'Etzel okazała się być jedną z najstarszych, spokrewnioną z królewskim domem Szkocji. Zagadką pozostaje jednak, w jakim celu ktoś pochodzący z takiej rodziny, starając się o wejście do cechu garncarzy, przedstawiał do wglądu starszym cechu taki dokument? Z początku byłem pewien, że uda mi się ustalić coś więcej o Watsonach i Lindsay'ach w Polsce. Okazało się jednak, że Szkotów mieszkającychy w Polsce w XVII-XVIII (w tym Lindsay'ów i Watsonów) było zatrzęsienie i na razie nie sposób jest dowiedzieć się niczego bliższego na temat tych dwóch, interesujących mnie rodzin. Udało mi się jednak odszukać potomków córki Katarzyny Watson i jej pierwszego męża Lindsay'a. Wyszła ona za mąż za Johanna Burggallera, architekta, który działał na Podkarpaciu. W pałacyku w Rzeszowie, który wybudował na potrzeby swojej rodziny, mieści się obecnie siedziba oddziału Polskiego Radia. Potomkiem dzieci Burggallerów jest stara czeska rodzina szlachecka: Sedlnitzky-Odrowaz von Choltitz.



Wywód przodków Jakuba Lindsay'a.

Powracając do Jana Fryderyka i Elżbiety Runge mieli oni dziewięcioro dzieci: Wilhelma Runge, który poślubił Salomeę Kraczewską, córkę znamienitego jarosławskiego mieszczanina, Macieja Kraczewskiego, Edwarda Runge, Aleksandra (ożenionego z córką znanego, lekarskiego rodu ze Lwowa – Marią Mossing), Karolinę, żonę Wilhelma Weissa (byli oni

rodzicami późniejszego burmistrza Jarosławia – Gustawa Adolfa Weissa), Fryderyka Runge, żonatego z Katarzyną Piasecką, głównego zarządcy Ordynacji Dzieduszyckich, mieszkającego w Zarzeczu, Alfreda Runge, Amalię Runge, Luizę Runge, żonę pułkownika Jana Bartscha z Jarosławia i mojego przodka – Roberta Runge.

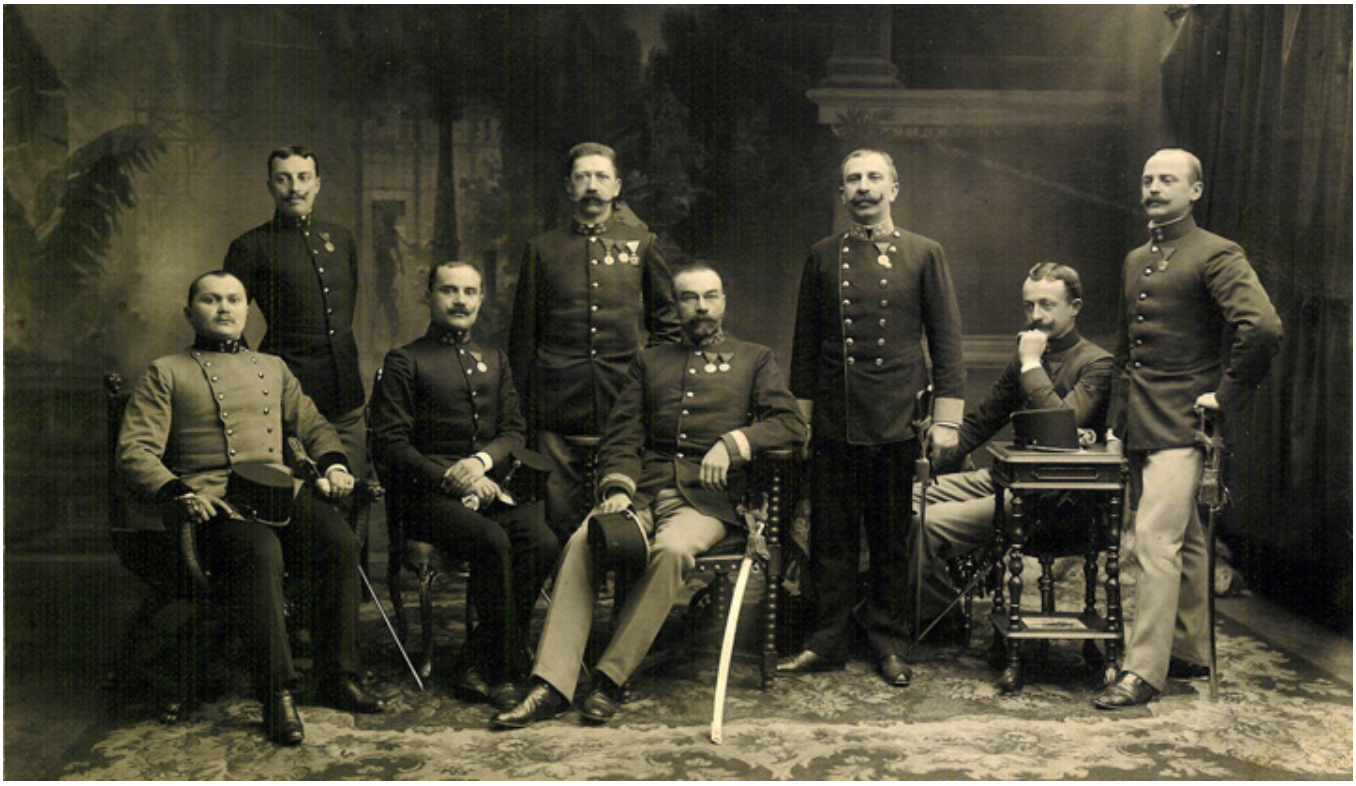


Dwór Rungów w Jarosławiu.

Mogę chyba śmiało powiedzieć, że najmniej z tych wszystkich wymienionych dzieci Jana Fryderyka wiem o moim Robercie. Austriackie Szematyzmy mówią, że razem ze swoim bratem Aleksandrem, byli oficerami w Galicyjskim Regimencie Piechoty. Adam Serdeczny, autor opracowania „Morawsko od czasów starożytnych do końca XX w.”, napisał iż według informacji zawartych w liście mojego 4 x pradziadka Władysława Misky’ego

do Muzeum Starożytności w Krakowie, Robert „pozostawił karierę wojskowego i powrócił na gospodarstwo dziedziczne”. Z listu wynika również, że „Robert interesował się dziełami zabytkowymi i archeologią”. Jedynym znanym mi działaniem związanym z pasjami Roberta, było opisane powyżej wykopaliska na terenie jego majątku w Morawsku.

Robert Runge, któremu w podziale majątku po zmarłym ojcu przypadło Morawsko, ożenił się z Antoniną Vever (Wewer). Jeszcze do niedawna wydawało mi się, że Antonina nosiła nazwisko Werner – dokumenty, które posiadam, zostały spisane tak niechlujną ręką, że trudno być w 100% pewnym nazwiska. Myślę, że te rozterki związane z bazgrzącymi niczym kura pazurem księżmi, znane są wszystkim pasjonatom genealogi. Dzięki odnalezieniu całkiem niedawno kolejnych dokumentów w kościelnych archiwach, nazwisko Vever zostało potwierdzone.



Regimentskommandant garnizonu w Salzburgu, Johann v. Vever – syn Johanna Melchiora Vevera, fot. www.rainerregiment.at

Cywińscy

Teściem Roberta Rungego był austriacki kapitan Johann Melchior von Véver. Jak to zwykle bywa, w poszukiwaniu osób o obco brzmiącym nazwisku, musiałem wykazać się kreatywnością. O ile nazwisko Véver nie dawało praktycznie żadnych wyników, o tyle jego spolszczona wersja – Wewer i owszem… Udało mi się nawet uzyskać metrykę chrztu wspomnianego Johanna! Dowiedziałem się z niej, że jego ojciec Franciszek był również oficerem austriackiej armii, a matka to Antonina Cywińska h. Puchała, ur. w 1805 r. w Bieżanowie (obecnie część Krakowa). Rodzicami Antoniny byli z kolei Klemens Cywiński (1760 – ? r.) i Anastazja Lewiecka, córka Michała Lewieckiego. O Lewieckich

udało mi się dowiedzieć całkiem sporo w oddziale Archiwum Narodowego na Wawelu. Zachowały się tam bowiem dokumenty dotyczące podziału spadku po bracie Anastazji.

Drugą żoną Klemensa była Barbara z Bykowskich (1770 – ? r.). Po wpisaniu hasła „Barbara Bykowska" na portalu **wielcy.pl** i **myheritage.pl** zobaczyłem pełną genealogię tej rodziny. Okazało się, że jest to jedno z najstarszych polskich nazwisk w Polsce, którego udokumentowane dzieje sięgają początków polskiej historii. O Klemensie oprócz tego, że pochodził z Mazowsza, a w Galicji posiadał majątek Regulice, leżący w powiecie chrzanowskim, nie udało mi się, jak na razie, dowiedzieć zbyt wiele. Ciekawostką jest to, że i w Regulicach i w samym Krakowie, był właścicielem browaru. Ten krakowski odkupił od zakonu karmelitów, wraz ze sporym terenem, gdzie też się ostatecznie osiedlił. Dzisiaj przylega on do kościoła Karmelitów na Piasku. Zachowały się dokładne mapy pokazujące działkę należącą do Klemensa, zachował się też zapisek mówiący o tym, że produkował on „dobre, angielskie piwo", czyli jak się dowiedziałem to, co dzisiaj nazywamy porterem. Niestety jego potomkowie sprzedali browar a szkoda… nie miałbym nic przeciwko pozostania browarnikiem! Z ogromną pomocą osoby pochodzącej z rodziny Cywińskich (tyle że z jej litewskiej gałęzi), udało mi się ustalić m.in., że Klemens Cywiński był również przodkiem Izabelli Cywińskiej, znanej reżyserki, którą ja zapamiętałem jako panią minister kultury w legendarnym już

rządzie Tadeusza Mazowieckiego.



Antonina Cywińska Vever – tablica wmurowana w ścianę kościoła w Myślenicach.

Córką Klemensa i jego pierwszej żony Barbary Cywińskiej, była osoba o oryginalnym imieniu – Symforoza Cywińska (1793 – ? r.). Poślubiła ona przedstawiciela bogatego krakowskiego rodu – Karola Treutlera de Traubenberga (1791 – 1866 r.), ojca Anny (1813 – 1880 r.), która to z kolei została żoną Ludwika Helcela (1810 – 1872 r.). Był on znaną postacią w ówczesnym szacownym mieście Kraków. Wraz z żoną ufundowali istniejący do dziś Dom Ubogich im. Ludwika i Anny Helclów. Po śmierci spoczęli w ufundowanej przez siebie Kaplicy Zmartwychwstania Pańskiego, którą własnym sumptem wznieśli na krakowskim Cmentarzu

Rakowickim. Służy ona do dzisiaj wszystkim krakowianom.

Swoistą ciekawostką, pokazującą wzajemne powiązania rodzinne, jest fakt sprzedaży przez Józefa Pawełkę (spokrewnionego z Miskymi) swojego majątku Podolany rodzinie Hallerów, którzy z kolei byli bliskimi krewnymi rodziny Helclów.

Oprócz mojej 4 x prababki, a późniejszej małżonki Władysława Misky'ego – Walerii Runge (1841 -? r.) Robert posiadał jeszcze dwóch synów – Alojzego „Żegotę" Runge (1843 – 1902 r.) i Ludwika Juliana Runge (1847 – 1912 r.).



Jan Czernecki

Stanisława była jedyną córką Alojzego. Poślubiła Jana Czerneckiego (1871 – 1955 r.), znanego księgarza, wydawcę i fotografika i mecenasa wielu młodopolskich artystów. Pozostałe

dzieci Alojzego to: Tadeusz Runge, starosta w Brodach (1873 – ? r.), Włodzimierz Runge (1877 – 1912 r.) i Kazimierz Runge. Syn Tadeusza – również Tadeusz, o drugim imieniu Maciej (1898 – 1975 r.), jest chyba jednym z najbardziej znanych przedstawicieli rodziny Runge. Żołnierz WP i AK, był jednym z „cichociemnych", zrzuconych w roku 1944 na teren Warszawy. W maju tego roku objął funkcję kierownika Centrali Zaopatrzenia Terenu (CZT) w Oddziale V sztabu Kierownictwa Dywersji (Kedywu) Komendy Głównej Armii Krajowej. Oto jak jego działalność została opisana w IPSB:

> Posługiwał się nazwiskami: Jan Kurcz, Witold Mirecki. W dn. 15 V 1944 został mianowany majorem (ze starszeństwem od 10 IV t. r.). W powstaniu warszawskim dowodził batalionem „Czata 49" (sformowanym przez siebie w lipcu 1944 z pracowników CZT), walczącym w składzie Zgrupowania „Radosław" kolejno na Woli, gdzie dowodził także zachodnim odcinkiem obrony, na Muranowie, na Starym Mieście, w Śródmieściu, na Czerniakowie i na Mokotowie. Był dwukrotnie ranny na Starym Mieście. Od 2 X 1944 leczył się w szpitalu powstańczym, a następnie przebywał w obozach w Pruszkowie i w Skierniewicach, skąd zbiegł 15 XI t. r. Ok. 2 X t. r. został awansowany do stopnia podpułkownika, co zatwierdził Naczelny Wódz 22 XII 1945.

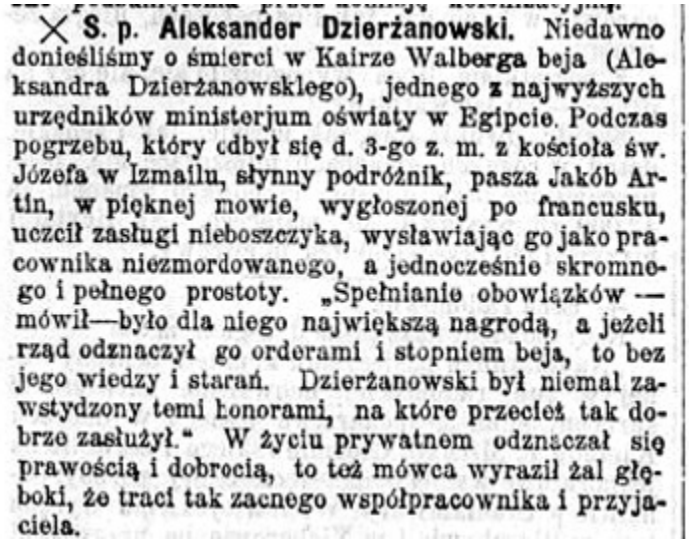
> W lipcu 1945 opuścił R. kraj; przez Czechosłowację i Francję przybył we wrześniu t. r. do Londynu, gdzie do grudnia t. r. leczył się w Szpitalu Wojennym Nr 4. Następnie osiadł w Londynie na stałe.

Tadeusz M. Runge podczas Powstania Warszawskiego był dowódcą Ryszarda Ścibor – Rylskiego, obecnie w stopniu generała. Miałem przyjemność rozmawiać z generałem i usłyszeć wiele komplementów pod adresem Tadeusza M. Rungego. Major Runge był czterokrotnie żonaty, niestety nie udało mi się nawiązać kontaktu z jego potomkami.

Drugim synem Roberta Runge, mojego 5 x pradziadka, był wspomniany już Ludwik Julian Runge, inżynier kolejnictwa, zamieszkały we Lwowie. Jego synem był Stanisław Izydor Runge (1880 – 1953 r.), lekarz weterynarii i rektor Uniwersytetu Poznańskiego. Oprócz bogatej działalności na niwie pracy naukowej, w tym wielu opublikowanych książek i prac naukowych, profesor Runge znany był ze swoich sympatii do osoby marszałka Józefa Piłsudskiego, co przysparzało mu niejednokrotnie kłopotów, czynionych przez należących do opozycyjnego obozu endeków.

Głównym (i największym) majątkiem rodziny Runge były Dmytrowice (obecnie – Olszynka), położone koło Radymna. Po

Janie Fryderyku odziedziczył je chyba jego najstarszy syn – Wilhelm, a po nim jego syn – Jan, żonaty z Anielą Rozborską (córką Michała Rozborskiego, właściciela Trójczyc). Aniela po śmierci męża wyszła po raz drugi za mąż, za Aleksandra Terleckiego, właściciela Cieszacina i Ożańska.



× **S. p. Aleksander Dzierżanowski.** Niedawno donieśliśmy o śmierci w Kairze Walberga beja (Aleksandra Dzierżanowskiego), jednego z najwyższych urzędników ministerjum oświaty w Egipcie. Podczas pogrzebu, który odbył się d. 3-go z. m. z kościoła św. Józefa w Izmailu, słynny podróżnik, pasza Jakób Artin, w pięknej mowie, wygłoszonej po francusku, uczcił zasługi nieboszczyka, wysławiając go jako pracownika niezmordowanego, a jednocześnie skromnego i pełnego prostoty. „Spełnianie obowiązków — mówił—było dla niego największą nagrodą, a jeżeli rząd odznaczył go orderami i stopniem beja, to bez jego wiedzy i starań. Dzierżanowski był niemal zawstydzony temi honorami, na które przecież tak dobrze zasłużył." W życiu prywatnem odznaczał się prawością i dobrocią, to też mówca wyraził żal głęboki, że traci tak zacnego współpracownika i przyjaciela.

Notka prasowa o śmierci Aleksandra Walberga Dzierżanowskiego, „Kurjer Warszawski", R. 8 nr 189 (11 lipca 1903 r.) – Polona.

Ciekawą postacią był mąż ich córki Zofii, urodzony w Warszawie Aleksander Dzierżanowski h. Grzymała (1826 – 1903 r.), syn Konstantego Dzierżanowskiego i Katarzyny Walberg. Mimo moich wytężonych poszukiwań, nie udało mi się ustalić niczego konkretnego na temat jego rodziców. Walbergów można spotkać w Piotrkowie Trybunalskim (wzmianka o Ludwiku Walbergu z 1872 r., w Siedlcach (wzmianka o Michale Walbergu w Kurierze Warszawskim z 1888 r.). Ślady nazwiska Walberg prowadzą raczej do Rosji, gdzie działał Iwan Walberg, dyrektor

Cesarskiego Baletu. W rosyjskich archiwach znaleźć można jeszcze innego człowieka noszącego to nazwisko: Iwana Iwanowicza Walberga. Był on rosyjskim wojskowym, który znalazł się potem w… Wermahcie. Spotkałem też wzmiankę o Janie Walbergu, wymienianym w roku 1859 w Kurierze Warszawskim jako „Sztabs – kapitan z Prus". Ślady związane z ojcem Aleksandra – Konstantym Dzierżanowskim, wiodą do rodziny Czartoryskich, z którymi Dzierżanowscy h. Grzymała zostali związani dzięki małżeństwu Marii Dzierżanowskiej z Konstantym Czartoryskim (1773 – 1860 r.).

Zainteresowałem się osobą Aleksandra Dzierżanowskiego ze względu na jego niebanalny życiorys. Nie wiem niestety, czym zajmował się do roku 1872, kiedy poślubił Zofię Runge. Wkrótce jednak potem (w roku 1877) wyjechał do Egiptu, gdzie aż do swojej śmierci, która miała miejsce w roku 1903, pracował jako dyrektor wydziału szkół europejskich w egipskim ministerstwie oświaty. Był jednym z tych, którzy oprowadzali po Kairze i być może nie tylko po nim, naszego słynnego rodaka, Henryka Sienkiewicza podczas jego pobytu w Egipcie w roku 1891. Pisała o tym w swojej książce żona austriackiego konsula w Egipcie, Anna Neumannowa. Innym turystą, któremu Aleksander Dzierżanowski pokazywał Egipt, był arcyksiążę Rudolf Habsburg.

Aleksander opublikował również kilka prac dotyczących szkolnictwa. Podpisywał się jako Aleksander Walberg –

Dzierżanowski Bej. Otrzymał bowiem tytuł bej (tur. – bey), nadawany wyższym urzędnikom na terytorium państw tureckich. Wiem tylko tyle, że pochowany został w koptyjskim kościele w Kairze, natomiast jego żona Zofia, najprawdopodobniej powróciła do Polski. Niestety, wciąż nic mi nie wiadomo o ich potencjalnym potomstwie i dalszych losach Zofii Dzierżanowskiej. I jak tutaj przejść obojętnie obok tak barwnej postaci? Nie pozostaje mi nic innego, jak napisać list, nalepić znaczek i wysłać go do kairskiego kościoła. Niestety, mimo iż intensywnie szukałem, ani na jego stronie internetowej, ani w Internecie, nie ma śladu po adresie mailowym tego koptyjskiego kościoła… No cóż, w końcu to jedna z najstarszych, wciąż działających instytucji na świecie. Jak widać, w XXI wieku takie szacowne instytucje mogą doskonale funkcjonować bez posiadania adresu mailowego …

Cześć 1:

http://www.cultureave.com/historia-zagubionej-rodziny-czesc-1/

Arden pamięta o Helenie Modrzejewskiej

Rozmowa z Lindą Plochocki, prezydentem Helena Modjeska Foundation – organizacji opiekującej się Muzeum Heleny Modrzejewskiej w miejscowości Arden w Kalifornii.



Dom Chłapowskich w Ardenie stał się unikalnym miejscem łączącym egzotykę Kalifornii z atmosferą polskiego dworu i chaty góralskiej, fot. Janusz M. Szlechta.

Janusz Szlechta i Justyna Szlechta (córka)

W roku 1883 Helena Modrzejewska i jej mąż kupili pół praw do posiadłości Józefa i Marii Refugio Pleasantów w Santiago Canyon, u stóp gór Santa Ana. Pięć lat później, po śmierci Marii Refugio, stali się w pełni jej posiadaczami. Miejsce to jest niezwykle piękne. Zamknięte pośród gór pozwala odciąć się od świata, żyć po swojemu, mimo że do Los Angeles stąd zaledwie 50 mil. Zapewne dlatego tak chętnie Chłapowscy tutaj bywali i tak chętnie odwiedzali ich tutaj przyjaciele i znajomi, na przykład Henryk Sienkiewicz. Ich dom został po latach przekształcony w

muzeum. Kto jest dzisiaj jego właścicielem?

Linda Plochocki

Miejsce to jest własnością władz *Orange County*, natomiast za jego funkcjonowanie odpowiada *Department of Harbors, Beaches and Parks*, czyli wydział do spraw portów, plaż i parków. Jest też spora grupa wolontariuszy, którzy wspierają władze powiatowe w tych działaniach – a robią to tylko dlatego, że to kochają.

Kiedy dom Heleny Modrzejewskiej został przekształcony w muzeum? Jaki był powód jego utworzenia?

Najpierw muszę powiedzieć, że Helena Modrzejewska i jej mąż hrabia Karol Bodzenta Chłapowski spędzili w swoim domu w Ardenie 18 lat. W latach 1888 – 1906 Helena przyjeżdżała tutaj głównie na wakacje oraz dłuższe lub krótsze okresy wypoczynku, między kolejnymi turami występów w teatrach w całych Stanach Zjednoczonych. Natomiast jej mąż zajmował się domem i posiadłością, która liczyła aż 1340 akrów. Założył gaj oliwny, hodował bydło i konie. Kiedy sprzedali ten majątek, powstał tutaj Country Club, a po pierwszej wojnie światowej posiadłość została rozparcelowana na działki.

W roku 1923 dom i park stały się własnością rodziny Walkerów z *Long Beach*. W roku 1986 Walkerowie sprzedali posiadłość

Orange County. Trzy lata później, w 1989 roku, władze powiatu utworzyły tu Muzeum Heleny Modrzejewskiej – *Arden Modjeska Historic House and Gardens*. Chodziło o to, aby ocalić wiele pamiątek po Helenie Modrzejewskiej, pamięć o niej i samo miejsce, które jest po prostu piękne. Głównym powodem było pokazanie jej życia tutaj – jako wczesnej pionierki stanu Kalifornia, którą w istocie była. Była jedną z pierwszych osadniczek, które zasiedliły ten region Kalifornii, zatem jej dom stał się ważnym śladem historycznym.

Muzeum jest również siedzibą Fundacji Heleny Modrzejewskiej, której Pani przewodniczy. Prosimy opowiedzieć więcej o fundacji. Jakie są Pani obowiązki i ile czasu poświęca Pani tej pracy?

Jest to organizacja charytatywna, nieprzynosząca dochodu. Jako wolontariusze staramy się przede wszystkim uświadamiać ludziom, kim była Helena Modrzejewska – a była to niewątpliwie jedna z największych aktorek tamtych czasów. Staramy się zachęcać ludzi do odwiedzania jej muzeum. Fundacja pełni ważną rolę edukacyjną i informacyjną. Zbieramy pamiątki po tej wielkiej artystce i staramy się odtworzyć tutaj klimat tamtych czasów. Opiekujemy się też bezpośrednio zbiorami. Naszym obowiązkiem – jako organizacji – jest również współpraca z władzami powiatowymi, poznanie i sprostanie wszystkim potrzebom.

Poświęcam tej charytatywnej pracy 20-30 godzin w miesiącu, a więc nie tak dużo. Nadzoruję pracę wolontariuszy, odpowiadam na korespondencję i odbieram telefony, oprowadzam też turystów odwiedzających muzeum. Czasami pracuję dłużej, w zależności od tego, jakie są potrzeby i co się wydarzy – na przykład kiedy przygotowujemy specjalne wystawy poświęcone Modrzejewskiej.



Linda Plochocki: „Nie chcemy, aby Modrzejewska była wyłącznie własnością Polaków. Chcemy, aby ludzie innych narodowości pokochali ją tak, jak my ją kochamy", fot. Janusz M. Szlechta.

Ilu macie wolontariuszy?

Jest ich około 30. Blisko połowa z nich oprowadza zwiedzających po muzeum, a inni wykonują różne niezbędne prace. Na przykład Charlie pracuje w ogrodzie i w parku dbając o to, aby wszystkie rośliny były piękne i zdrowe. Mamy dużo szczęścia, że posiadamy takich wolontariuszy. Wielu z nich nie ma polskich korzeni, ale z czasem zaczynają kochać Modrzejewską, ten park i dom – bo to jest naprawdę magiczne miejsce. Jesteśmy bardzo wdzięczni władzom powiatu za utrzymywanie tego miejsca.

Wiemy, że lubi Pani podróże i wiele Pani podróżuje. Czy odwiedzając inne miejsca zapomina Pani o Ardenie?

To nie jest możliwe, o tym miejscu nie sposób zapomnieć. Gdziekolwiek jestem, zawsze staram się szukać śladów po Helenie Modrzejewskiej, zdobyć o niej jakieś nowe informacje, bo przecież ona też wiele podróżowała, a szczególnie po Stanach Zjednoczonych.

Czym zajmuje się Pani na co dzień, poza muzeum i fundacją?

Mój mąż zarabia wystarczająco dużo, nie muszę więc pracować. Mam czas na zajmowanie się rodziną oraz realizacją marzeń. Moją wielką pasją jest moda lat 30. ubiegłego wieku. Uwielbiam studiować modę z tamtego okresu, kolekcjonować niektóre stroje lub ich elementy. I właśnie dlatego odwiedziłam niedawno Nowy

Jork, aby zobaczyć wystawę odzieży z lat 30. na Brooklynie.

Ile kosztuje utrzymanie muzeum w Arden? Czy pieniądze na utrzymanie dają tylko władze Orange County, czy są też inne źródła?

Jeśli mam być szczera, to tak naprawdę nie wiem, ile kosztuje utrzymanie tego miejsca. Pieniądze pochodzą z budżetu przeznaczonego na utrzymanie tutejszego parku narodowego, więc nie znam dokładnych liczb. Od czasu do czasu dostajemy też niewielką pomoc finansową z zewnątrz, ale wiedzę na ten temat mają wyłącznie władze powiatowe, zresztą nie jestem pewna, czy ujawniają te dane.



Tablica informująca o historycznym domu Modrzejewskiej, ustawiona tuż przed wejściem na teren tej pięknej posiadłości, fot. Janusz M. Szlechta.

Jak wiele osób odwiedza muzeum? Czy wśród odwiedzających są Polacy?

W skali roku odwiedza nas około 500 osób. Muzeum jest otwarte jeden dzień w tygodniu, naprzemiennie we wtorek lub w sobotę, od godziny 10 rano do 12 w południe, czyli *de facto* cztery dni w miesiącu. Oczywiście, jeśli jest taka potrzeba, muzeum jest otwarte częściej i dłużej. Jednorazowo możemy przyjąć maksymalnie 45 osób. Organizujemy także specjalne spotkania – zazwyczaj trzy lub cztery w roku – podczas których jesteśmy w stanie przyjąć do 125 osób.

Sporą część odwiedzających stanowią Polacy, ale nie chcemy, aby Helena Modrzejewska była wyłącznie własnością Polaków. Chcemy także, aby ludzie innych narodowości zainteresowali się nią i pokochali tak, jak my ją kochamy. Chcemy, żeby zobaczyli, jak fascynującą była postacią. Przyjmujemy wiele grup, które są zainteresowane teatrem i architekturą, a także osoby, których pasją są stare domy i historia stanu Kalifornia. Dysponujemy specjalnym programem szkolnym, więc w trakcie roku szkolnego w każdy poniedziałek odwiedzają nas uczniowie z różnych szkół, głównie czwartoklasiści w wieku około 10 lat.

W trakcie oprowadzania nas po muzeum wspomniała Pani o prawnuczce Heleny Modrzejewskiej, która jest artystką i mieszka na Alasce. Czy utrzymuje ona jakiś kontakt z muzeum?

Owszem, mamy kontakt z rodziną Modrzejewskiej, między innymi z pra-prawnukiem i pra-prawnuczkami. Niektórzy mieszkają w Arizonie, inni na Alasce i w Kolorado. Wiem, że ktoś z rodziny mieszka w San Diego. Większość z nich mieszka niedaleko stąd, na południowo-zachodnim wybrzeżu USA.



W Arden niemal wszystko ma w nazwie nazwisko aktorki, nawet straż pożarna, fot. Janusz M. Szlechta.

Wspomniała Pani o kontaktach fundacji i muzeum z Krakowem – a więc miastem, gdzie urodziła się Helena Modrzejewska, a także z Zakopanem – gdzie bywała. Czy to były incydentalne, jednorazowe kontakty, czy też utrzymujecie łączność z miejscami w Polsce związanymi z Modrzejewską?

Utrzymujemy kontakt ze szkołą w Zakopanem imienia Heleny Modrzejewskiej oraz z tamtejszym muzeum. W 2009 roku była tam zorganizowana – dokładnie w setną rocznicę jej śmierci – ogromna wystawa poświęcona aktorce, w otwarciu której osobiście uczestniczyłam. Wystawa ta powędrowała potem do

muzeum w Krakowie i do Warszawy. Odświeżamy te kontakty, chociażby z racji przedstawienia zatytułowanego *Modjeska! The Artist's Dream!* (Modrzejewska – marzenia artystki). W jej postać wcieliła się świetna polska aktorka Ewa Boryczko.

Zapraszam serdecznie do Ardenu. Mimo że to miejsce nieco na uboczu, ale przecież bardzo piękne. I każdy przekona się, że mimo iż minęło już ponad sto lat od śmierci tej wielkiej aktorki, to przecież każdy o niej tutaj pamięta. Drogi i ulice noszą jej imię, podobnie jak straż pożarna. Nawet w restauracji podają kotlet a'la Modjeska.

Helena Modrzejewska – dzięki uporowi, pracy i wielkiemu talentowi wyrwała się ze społecznych nizin, pokonała przeciwności losu i osiągnęła szczyty sławy, stając się najwybitniejszą polską aktorką XIX i początków XX wieku. Artystka była rozkochana w wielkiej klasyce: w Szekspirze, Schillerze, Słowackim. Marzyła o wprowadzeniu na warszawską scenę utworów zakazanych romantyków, o udostępnieniu Polsce arcydzieł sztuki światowej, a światu – arcydzieł sztuki polskiej. Więcej informacji o aktorce i o jej życiu w Ardenie można znaleźć w świetnej książce Joanny Sokołowskiej-Gwizdka zatytułowanej „Co otrzymałam od Boga i ludzi", wydanej przez BoRey Publishing w Somerset, New Jersey w 2009 roku.

Wywiad pochodzi z książki Janusza M. Szlechty „Widziane stamtąd. Wybór wywiadów z Polakami żyjącymi gdzieś w świecie”, wyd. Instytut Wydawniczy Kreator, 2017 r.

Jubileuszowa XXV edycja festiwalu „Maj nad Wilią”

Teresa Markiewicz

Przy pomniku Adama Mickiewicza w Wilnie nad Wilenką w poniedziałek, 28 maja 2018 r., została tradycyjnie zainaugurowana XXV edycja festiwalu „Maj nad Wilią”. Od „Przywitania z Adamem” oraz tradycyjnego pozowania do wspólnego zdjęcia poetów przybyłych z dziewięciu krajów,

w tym Anglii, Czech, USA, Belgii, Polski i in., a także wileńskich twórców, rozpoczęła się uczta słowa literackiego.



Inauguracja „Maja nad Wilią” pod pomnikiem Adama Mickiewicza w Wilnie, fot. Teresa Markiewicz.

Odsłonę festiwalu, który od ćwierćwiecza sprzyja promowaniu polskiej kultury na Litwie, zarazem promując twórczość wileńskich autorów, zaszczyciła swą obecnością **Urszula Doroszewska**, ambasador RP w Wilnie. Udział wzięli także przedstawiciele Wydziału Konsularnego RP, Instytutu Polskiego w Wilnie oraz wielu innych placówek i instytucji wileńskich oraz

zagranicznych, które przyczyniły się do zrealizowania festiwalu, odbywającego się tradycyjnie każdego roku w mieście nad Wilią.

Pani Ambasador w krótkiej przedmowie zaznaczyła, że fakt, iż festiwal przetrwał ćwierćwiecze działalności, jest żywy i istotny, tworzy jedno środowisko Polaków z Korony i Polaków z Litwy, jest zjawiskiem nadzwyczajnym. Doroszewska podkreśliła także, jak ważne jest budowanie mostów poprzez przekład literacki oraz ciepło pozdrowiła zebranych „w miejscu szczególnym i tradycyjnym" – jak to określił inicjator oraz niestrudzony organizator rokrocznej imprezy – poeta i dziennikarz – **Romuald Mieczkowski**.

Organizator imprezy także dodał, że „od pierwszego festiwalu poczynając organizatorzy czynią starania, by twórczość dawnych wilnian oraz twórców związanych z Wilnem nie zanikała. Ten duch, który panuje podczas spotkań literackich jest dla Wilna bardzo potrzebny…".

Na dziedzińcu Muzeum Adama Mickiewicza w Wilnie, fot. Bartosz Frątczak.


ADOMAS MICKEVIČIUS
ADAM MICKIEWICZ


ADOMAS MICKEVIČIUS
ADAM MICKIEWICZ


ADOMAS MICKEVIČIUS
ADAM MICKIEWICZ

Na dziedzińcu Muzeum Adama Mickiewicza w Wilnie przy ul. Bernardyńskiej nr 8, po inauguracji, przy ścianach domu-muzeum odbyła się prezentacja twórczości obecnych tu autorów pt. „Przedpołudnie jednego wiersza". Wśród festiwalowych gości swoją twórczość przedstawili poeci zagraniczni: **Renata Putzlacher, Ryszard Grajek, Helena Skonieczka, Janusz Taranienko, Dorota Gorczyńska-Bacik, Zbigniew Zales, Barbara Gruszka, Janusz Wójcik, Mirosława Wojszwiłło, Tomasz Snarski, Bernadeta Kalec, Stanisław Zawodnik, Teresa Barbara Banasik, Paweł Krupka, Leokadia Komaiszko.**

Wileńskich autorów reprezentowali: **Wojciech Piotrowicz, Alina Lassota, Aleksander Sokołowski, Józef Szostakowski, Romuald Ławrynowicz, Romuald Mieczkowski** oraz niżej podpisana.

Tegoroczny, jubileuszowy „Maj nad Wilią" ma charakter interdyscyplinarny, dlatego obfituje w różnorodne interesujące inicjatywy społeczno-kulturalne. W ramach festiwalu została otwarta bardzo interesująca wystawa fotograficzna **Jana Skłodowskiego** – „Litewskim szlakiem Narutowiczów", m. in. z udziałem autora. Potem odbyła się konferencja „Niepodległość niejedno ma imię – 100 lat odrodzenia państwowości Litwy i Polski. Polacy w niepodległości litewskiej" – m. in. St.

Narutowicz, Michał Romer. Tadeusz Iwanowski (Tadas Ivanauskas), odrodzenie naszych państwowości w literaturze i sztuce. Z udziałem **Tomasza Kuby Kozłowskiego** (Dom Spotkań z Historią), dyskusje poprowadzili redaktorzy naczelni: Tomasz Otocki – portal „Przegląd Bałtycki”, Andrius Konickis – „Naujoji Romuva” i Romuald Mieczkowski – kwartalnik „Znad Wilii”.



Tablica poświęcona Gabrielowi Narutowiczowi, fot. Bartoz Frątczak.

Obyła się także dyskusja na temat integracyjnej roli literatury, punkt widzenia młodych twórców, podsumowanie konkursu

„Polacy Wielu Kultur”.

W niedzielę, 27 maja, w kościele Wniebowzięcia NMP (kościół Franciszkanów) uczestnicy festiwalu – poeci wileńscy oraz zagraniczni zebrali się, by wspólnie się modlić, a po nabożeństwie – liturgii słowa Bożego, tradycyjnie nastąpiło dzielenie się słowem lirycznym, czyli odbyła się refleksja liryczno-poetycka uczestników festiwalu, zgromadzonych w świątyni wileńskiej, znajdującej się na ul. Trockiej w Starym Mieście.

W niedzielę, w ramach jubileuszowego festiwalu w Domu Kultury Polskiej odbył się recital pt. „Piosenki lat międzywojennych” – koncert polskiej aktorki z wileńskim rodowodem – **Joanny Moro**. Koncert, na którym była obecna Urszula Doroszewska, ambasador RP w Wilnie, był ciepło przyjęty przez zebranych na widowni. Następnie odbyła się prapremiera filmu „Nieobecny”. „Nieobecny” to film dokumentalny o prekursorze polskiej poezji w czasach sowieckiej Litwy – **Sławomirze Worotyńskim** – o tzw. w gronie przyjaciół po piórze – „wileńskim Wojaczku”. Na prapremierze filmu był obecny syn poety – **Marcin Worotyński**, biznesmen, obecnie mieszkający w Amsterdamie, który ze sceny DKP serdecznie podziękował za zachowaną pamięć o jego ojcu-poecie: „Jest to piękny, wzruszający film, jestem głęboko wzruszony…” – powiedział wdzięczny syn wileńskiego poety. Premiera filmu odbyła się z udziałem jazzmana **Jana**

Maksimowicza oraz aktualnych realizatorów tego filmu.

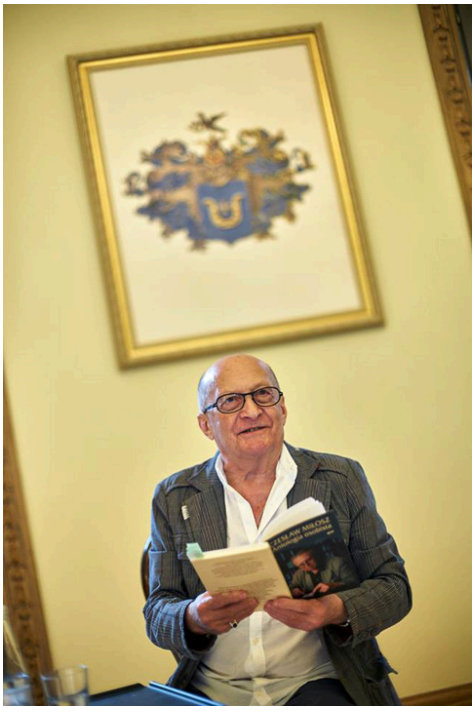
W Pałacu Balińskich w Jaszunach można było posłuchać wierszy Czesława Miłosza, Wisławy Szymborskiej i Adama Zagajewskiego w wykonaniu Wojciecha Pszoniaka i Birute Mar. Polsko-litewski wieczór poezji urozmaicił występ Jana Maksimowicza.



Pałac Balińskich w Jaszunach.



Birute Mar



Wojciech Pszoniak



Jan Maksimowicz

Jubileuszowy program festiwalu był wprost nasiąknięty sensacjami. Uczestnicy i goście festiwalowi mieli możliwość wysłuchać koncertu Stanisława Soyki z towarzyszącym znanemu artyście zespołem. Publiczność z zachwytem oklaskiwała poezję śpiewaną znakomitego polskiego muzyka.

Artykuł pochodzi z portalu L24, dziękujemy za udostępnienie.

http://l24.lt/pl/

Wspomnienie o „Maju nad Wilią”:

http://www.cultureave.com/wspomnienie-o-maju-nad-wilia/

Program:

http://www.cultureave.com/xxv-festiwal-poezji-maj-nad-wilia/

Fotogaleria



Romuald Mieczkowski. W Klubie Związku Pisarzy Litwy, fot. Vladas Braziunas



Birutė Jonuškaitė. W Klubie Związku Pisarzy Litwy, fot. Vladas Braziunas



Joanna Tabor. W Klubie Związku Pisarzy Litwy, fot. Vladas Braziunas



Irena Aleksaitė. W Klubie Związku Pisarzy Litwy, fot. Vladas Braziunas



Renata Putzlacher. W Klubie Związku Pisarzy Litwy, fot. Vladas Braziunas



Vytas Dekšnys. W Klubie Związku Pisarzy Litwy, fot. Vladas Braziunas



Romuald Mieczkowski i Giedrė Šorienė. W Klubie Związku Pisarzy Litwy, fot. Vladas Braziunas



Fot. Bartosz Frątczak.



Fot. Bartosz Frątczak.



Fot. Bartosz Frątczak.

Fotografie pochodzą ze strony Festiwalu „Maj nad Wilią”:

https://www.facebook.com/majnadwilia

Polscy artyści z Australii – Anna, Adam i Andrzej Fiala



Andrzej Fiala, fotografia

Troje polskich artystów z Australii o nazwisku Fiala i wspólnych pierwszych literach imion: Anna, Andrzej (Andrew), Adam, aktywnie działają w dziedzinie kultury na tym kontynencie.

Anna Fiala ukończyła Wyższą Szkołę Sztuk Plastycznych ze specjalizacją Tkactwo w Łodzi. W Polsce zajmowała się tworzeniem tkanin artystycznych, brała udział w wystawach, a także współpracowała z Biurem Handlu Zagranicznego DESA, dzięki któremu sprzedawała swoje tkaniny artystyczne do Zachodniej Europy i Ameryki.

W Zachodniej Australii, dokąd wyemigrowała po ogłoszeniu stanu wojennego w Polsce, przez szereg lat zajmowała się malarstwem olejnym tworząc pejzaże i martwe natury inspirowane jej ulubioną sztuką dawnych Mistrzów Holenderskich.



Anna Fiala, fotografia

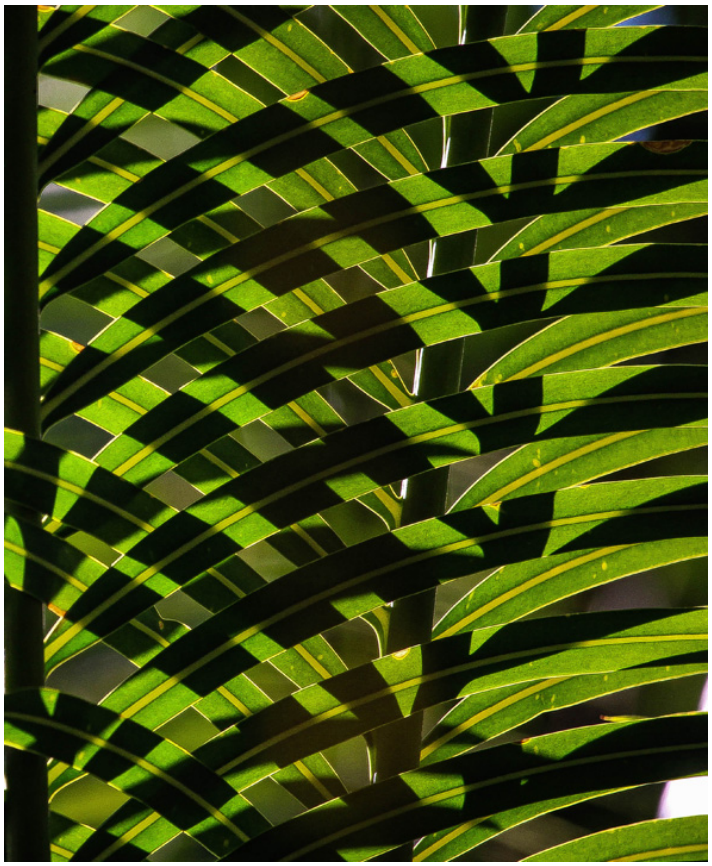
Jednak od dawna interesowała ją fotografia, dlatego w pewnym momencie swego życia, artystyczną pasję i wiedzę wyniesioną ze studiów zaczęła realizować w tym medium. Inspirację do tworzenia obrazów aparatem fotograficznym dała jej unikalna przyroda Zachodniej Australii. Nie były to tylko pejzaże, ale przede wszystkim, detale odkrywane na wiekowych drzewach, w ich korze kształtowanej latami i zmieniającej się pod wpływem warunków atmosferycznych, pożarów buszu, i wielu innych elementów takich jak światło, pory dnia czy roku. Zafascynowana nowymi odkryciami przemierzała kilometry buszu w

poszukiwaniu ciekawych i zaskakujących szczegółów do sfotografowania. Początkowo łączyła zdjęcia w panoramiczne montaże dające możliwość stworzenia fabuły, nawiązującej do wierzeń i tradycji Australijskich Aborygenów.

Do fotografii Anny dołączyli się Adam i Andrzej (Andrew) uzupełniając je krótkimi poetyckimi tekstami. Poznawanie buszu dało jej możliwość lepszego zrozumienia kultury i sztuki pierwszych mieszkańców tego kontynentu. Wędrując po buszu ma wrażenie, że jest otoczona ich duchami. Dzięki tym fotografiom powstało szereg albumów, umownie nazwanych „Leśnymi książeczkami". Kilka z nich zostało opublikowanych przez Blurb na Internecie. Książeczki jak i albumy ze zdjęciami i sztuką całej trójki: Anny, Adama i Andrzeja (Andrew) można znaleźć na Zenfolio. Książki nadal czekają na wydawcę.



Anna Fiala, fotografia



Andrzej (Andrew) Fiala, fotografia.

Andrzej (Andrew) Fiala jako dziecko przybył do Australii wraz z rodzicami. Jest samoukiem i lubi kroczyć własną drogą także w sztuce. Czasowo studiował między innymi art i fotografię na Australijskim TAFE (odpowiednik zawodowych studiów). Jest kolekcjonerem zarówno cennych książek jak i materiału elektronicznego. Obecnie koncentruje się na fotografiach zwierząt, potrafi godzinami czatować na właściwy moment w lokalnym ZOO w Perth w Zachodniej Australii. Tworzy też ciekawe pół abstrakcyjne kompozycje z liści, wykorzystując odpowiednie, ciągle zmieniające się światło, a także układa indywidualne, ekspresyjne fotomontaże (używając figurek zwierzęcych), bogate pod względem kompozycyjnym i kolorystycznym. Ma zdolności do języka angielskiego, pisze piękne eseje. Zna także język polski. Jego fotografie i art można znaleźć na Andrew Fiala FB.



Adam Fiala, rysunek

Adam Fiala jest najstarszy z całej trójki. Ma obecnie 77 lat. Z formalnego wykształcenia jest prawnikiem, pracował kilkanaście lat na terenowych radcostwach w województwach lubelskim, a następnie warszawskim. Nie przeszkadzało mu to jednak, by zajmować się w tym czasie: literaturą, sztuką i muzyką. Przed stanem wojennym był w Polsce popularnym pisarzem prozaikiem, wydał siedem książek w nakładzie ćwierć miliona sztuk. Stan wojenny i w konsekwencji emigracja zmieniły wszystko, ale po czasie nawiązał kontakt z krakowską „Miniaturą", gdzie wydał siedem własnych pozycji (tym razem poezje oraz ilustracje), zilustrował też około 70 tomików innych petów. Współpraca z „Miniaturą" dała mu możliwość kontynuacji artystycznych zainteresowań i rozwijania własnego stylu w ulubionych trzech dziedzinach: literaturze, sztuce i muzyce. Na terenie Australii nawiązał kontakt magazynem internetowym „Puls Polonii" z Sydney i włączył się do działalności tamtejszej Polonii, co zaowocowało zdobyciem kilku nagród za piosenki i twórczość plastyczną w konkursach o Edmundzie Strzeleckim i Tadeuszu Kościuszce.

W Polsce we wczesnych latach nauczył się gry na fortepianie, grał między innymi Chopina. W Australii po kilku latach znalazł swój własny jazzowy styl, zarówno interpretacji jak i pisania muzyki i piosenek. Gra także na *didgeridoo,* instrumencie Aborygenów. Jego domowa kolekcja własnej twórczości jest

ogromna, ma także bardzo dużo swoich tekstów w rękopisach.

Jego wiersze i piosenki oraz grafiki i felietony prezentowane są w internetowych magazynach: „Polska Canada” i „Culture Avenue” w Ameryce oraz „Puls Polonii” w Sydney. Jego regularnie pisane aforyzmy pod tytułem „Punkt widzenia” jak i jego art pod hasłem „Adam Fiala Collection” są prezentowane na FB Anny, gdzie także można znaleźć kilkanaście albumów Anny pod hasłami: „Landscape and Details” oraz „Bark Impressions”. Albumy Andrzeja (Andrew) znajdują się na jego FB.



Adam Fiala, rysunek

Adam i Anna Fiala na Culture Avenue:

http://www.cultureave.com/adam-fiala-turpizm-australijski/
http://www.cultureave.com/adam-fiala-artysta-niepokorny/
http://www.cultureave.com/adam-fiala-wiersze-i-rysunki/
http://www.cultureave.com/inspiracja-australijskim--buszem-w-kolazach-anny-fiali/
oraz liczne felietony i haiku.

Wystawa prac Adama Fiali w Domu Polonii w Krakowie:
http://www.cultureave.com/australijskie-noce-i-dni-adama-fiali/

Inne linki:

Facebook

https://www.facebook.com//

Adam Fiala – piosenka o Van Goghu

Zenfolio

http://fialaart.zenfolio.com/

Youtube

http://www.youtube.com/user/adamfialaart?feature=

Polska Canada

http://www.polskacanada.com/

Leśne książeczki

www.blurb.co.uk/b/5978065-forest-secrets

http://www.zrobtosam.com/PulsPol/Puls3/index.php?sekcja=1&arty_id=14744

Spotkanie w Cartagenie

de Indias



Gustavo Arango, fot. Tatiana Melo.

Florian Śmieja

Kanadyjska poczta przyniosła mi powieść Kolumbijczyka Gustawa Arango *El origen del mundo* (Pochodzenie świata). Autor jest profesorem języka hiszpańskiego i literatury latynoamerykańskiej na uniwersytecie stanowym Nowego Jorku w Oneonto. Posyłając mi książkę, wpisał do niej:

> Dla Floriana Śmieji, odnalezionego, choć nigdy nie zaginionego…

Choć dedykacja pochodzi z roku 2013, to poznaliśmy się już dawniej, w 1996 roku w cudownym nadmorskim mieście kolumbijskim Cartegena de Indias. Tam odwiedziłem redakcję dziennika „El Universal", w którym za młodu pracował noblista Gabriel Garcia Márquez. Redaktorem tygodniowego dodatku literackiego tej gazety był wówczas młody pisarz Gustaw Arango, którego udało mi się zarazić podziwem dla poezji Herberta i Szymborskiej.

Leży teraz przede mną zachowany jeszcze numer tego dodatku z datą 8 grudnia 1996 r. z artykułem Gustawa zatytułowanym *Uścisk dla Wisławy* (*Un abrazo a Wisława*), ilustrowanym dużą fotografią poetki. W artykule znalazł się opis naszego spotkania. Redaktor Arango przypomniał, jak to mężczyzna w średnim wieku przybyły z Kanady przyszedł do jego biura – i miało się okazać, że nie był to przypadkowy kanadyjski turysta, ale polski poeta z Kanady, który w czasie spotkania opowiedział mu o Zbigniewie Herbercie oraz spotkanej w Krakowie Wisławie Szymborskiej, świeżo uhonorowanej nagrodą Nobla.

Autor artykułu wspomina, jak dowiadywałem się o losy tego najlepszego dziennika w mieście, a potem wyraziłem swoje

uznanie za kultywowanie na jego łamach w tych stronach tak pięknego, choć przecież mało użytecznego zamiłowania do poezji. Przypomina czytelnikom, że jego gość, nauczywszy się hiszpańskiego w Irlandii i Anglii, pracował jako hispanista w Anglii, a potem przeniósł się do Kanady. Wymienia moje przekłady na polski meksykańskiej powieści *Gniew* i andaluzyjskiej elegii o osiołku pt. *Srebroń i ja*. Artykuł swój tak kończy:

> Wiedząc, że te stronice dostaną się do rąk Wisławy, korzystamy z okazji, by przesłać jej całusa i uściski z podziękowaniem za wszystkie okoliczności, które pozwoliły nam raczyć się świeżością cechującą jej słowa.

Jego tekstowi towarzyszyły dwa moje przekłady wierszy Szymborskiej na hiszpański: *Pochwała złego o sobie mniemania* oraz *Portret kobiecy*. Tę stronę kolumbijskiego dodatku wedle przyrzeczenia posłałem do Krakowa.

Okazało się, że ambitnemu pisarzowi Gustawowi Arango udało się później przenieść do Stanów Zjednoczonych, gdzie z czasem stał się uniwersyteckim wykładowcą i nagradzanym powieściopisarzem. Po latach mnie odszukał i przysłał książkę. Nie zapomniał również o Zbigniewie Herbercie, którego parę przekładów mojego pióra także w Cartagenie ogłosił. Utkwiły mu

nie tylko w jego pamięci redaktorskiej, ale i twórczej. Bo w przysłanej mi powieści na stronie 103 widzę takie oto echa moich hiszpańskich prób tłumaczeń wierszy Herberta. Oto jak protagonista Aranga w powieści rozważa swoją sytuację:

> Mogłem pozostać w odległej prowincji pod liśćmi sykomorów i pod rządami chorowitych nepotów…

i dalej:

> wypracuję sobie strategię… nie mam zamiaru przysługiwać się… biłem brawo miarowo, uśmiechałem się połowicznie, marszczyłem brwi dyskretnie, nie spodziewając się złotego łańcucha, te z żelaza wystarczą. Opuściłem prowincję, bo tam wszystko było mi obce. Drzewa były jakby bez korzeni, domy bez fundamentów, kwiaty pachniały woskiem, deszcz szklany…Suche obłoki kołatały o puste niebo. Wróciłem przekonany, że będę mógł na nowo nauczyć się twarz, jak się zachować. Ułożyłem się z dolną wargą, by umiała powściągać pogardę, zdołałem sprawić, by oczy były puste i zająca twarzy oduczyłem drżenia… Wierzyłem, że jakoś mi się to ułoży. Pomyślałem, że kluczem do sytuacji jest trzymanie się z dala od sztuczek z trucizną.

Przypomnijmy sobie teraz dla porównania fragmenty *Powrotu prokonsula* Herberta:

> mógłbym pozostać tutaj w odległej prowincji
>
> pod pełnymi słodyczy liśćmi sykomoru
>
> i łagodnymi rządami chorowitych nepotów
>
>
>
> gdy wrócę nie mam zamiaru zasługiwać się
>
> będę bił brawo odmierzoną porcją
>
> uśmiechał się na uncje marszczył brwi dyskretnie
>
>
>
> nie dadzą mi za to złotego łańcucha
>
> ten żelazny wystarczy

> …wszystko tu nie moje
>
> drzewa są bez korzeni domy bez fundamentów deszcz szklany kwiaty pachną woskiem
>
> o puste niebo kołacze suchy obłok
>
>
>
> trzeba będzie na nowo ułożyć się z twarzą
>
> z dolną wargą by umiała powściągnąć pogardę
>
> z oczami aby były idealnie puste
>
> z nieszczęsnym podbródkiem zającem mej twarzy

Porównując oba te teksty, zastanawiałem się, czy mamy u Arango do czynienia z plagiatem, czy też ze świadomym zapożyczeniem z utworu polskiego poety, z posłużeniem się doświadczeniami bliskiego autorowi człowieka, guru, idola, który także znalazł się w sytuacji emigranta i umiał swoje położenie wyrazić tak doskonale, że je zdominował? W ojczyźnie Arango wiódł życie skromne, ale „pełne”, wartościowe; żywił jednak ambicje, które sprawiły, że zakosztował w obcym kraju, pod

innym słońcem i wśród odmiennych ludzi, bogatej kariery. Kiedy wspominał o straconej idylli, żyjąc w dostatku materialnym, może zatęsknił choćby fikcyjnie do swoich stron? I przypomniał sobie wynurzenia poetyckie Herberta?

Zakładam, że Herbertowi byłoby miło jako inspiratorowi wynurzeń człowieka z zupełnie innego kulturowego kręgu.

_____

Powiązany artykuł:

http://www.cultureave.com/klerk-mezny-wspomnienie-o--zbigniewie-herbercie-1924-1999/

Paweł Kunigis.

Moje życie to wielki bałagan.

Urodził się w Polsce, dzieciństwo i młodość spędził w Izraelu, od 40 lat mieszka w Kanadzie. Nie uczył się muzyki, a gra, komponuje pisze teksty piosenek i to w wielu językach, po polsku, hebrajsku, arabsku, francusku, angielsku. Nazywany jest poetą-poliglotą. W 1995 roku założył zespół „Jeszcze raz". Wydał płyty „Pamiętam", „Balagane", „Wapiti", „Exodus" i „1 Moment". Zarówno prasa, jak i dziennikarze radiowi nie szczędzą mu słów uznania, za oryginalność muzyki i umiejętne połączenie elementów różnych kultur.



Paweł Kunigis, fot. Kronika Montrealska.

Joanna Sokołowska-Gwizdka

Pierwszy raz usłyszałam o Panu podczas Festiwalu Jazzowego w Montrealu. W programie rzuciła mi się w oczy znajomo brzmiąca nazwa Pana zespołu „Jeszcze raz". Czy mógłby Pan opowiedzieć o Pana powiązaniach z Polską?

Paweł Kunigis

Urodziłem się w Polsce, w Bydgoszczy. Matka była Polką, katoliczką, a ojciec Żydem. Gdy miałem 3 lata wyjechałem z rodzicami do Izraela. Mój ojciec był w Polsce pułkownikiem, musiał jednak wyjechać, bo miał problemy z wojskiem. Mieliśmy tam mieszkać rok, może 1,5 roku, ale zaraz po przyjeździe okazało się, że moja matka zachorowała na raka i wkrótce zmarła. I tak zostaliśmy przez dłuższy czas w Izraelu. Ale duża część rodziny mieszka nadal w Polsce, w Gdańsku, Bydgoszczy, Włocławku, Łodzi i Słupsku.

Czy pamięta Pan Polskę, polskie dzieciństwo?

Nie tak dużo. Czasami nie jestem pewien czy to ja pamiętam, czy to są rzeczy, które mi ojciec opowiadał. Dla mnie przez wiele lat Polska nie istniała, nic do niej nie czułem. Mieszkałem przecież w Izraelu, potem w Kanadzie. Dopiero jak w Polsce weszła Solidarność, to wtedy tak jakbym się obudził. Zapragnąłem stworzyć muzykę z polskimi elementami i do polskich słów. Wszystkie polskie melodie nagle mi się zaczęły przypominać. Nie wiem czemu. To tak jakoś w duszy grało. Nie potrafię tego ani nazwać, ani zrozumieć.

Wyjechał Pan z Polski będąc małym dzieckiem, ale dobrze mówi Pan po polsku.

To ojciec nauczył mnie języka. Moja matka przed śmiercią prosiła ojca, żeby uczył nas polskich tradycji. I ojciec dotrzymał słowa. Wychowywał nas po katolicku, rozmawiał z nami tylko po polsku. Z braciszkiem, jak ojca nie było, rozmawiałem po hebrajsku, francusku, angielsku.

Czyli wychowywał się Pan, będąc otoczony wpływami wielu kultur.

Bardzo dużo różnych wpływów miałem wokół siebie. Oprócz tego, że byłem katolikiem w Izraelu, co nie było wtedy takie lekkie, chodziłem do francuskiej szkoły w małym arabskim miasteczku Jaffa. Dlatego na moich płytach znajduj ą się piosenki po polsku, hebrajsku, arabsku.

Płyty są więc multikulturowe, jak amerykański kontynent.

Tak, ale Ameryka to jazz, blues, francuskie piosenki, ale nie rozumiem czemu, gdy zaczynam pisać, słowa w większości układają mi się po polsku. Myślę, że psycholog na pewno by to jakoś wyjaśnił.

Gdzie Pan uczył się muzyki, gry na instrumencie, kompozycji?

Nigdy nie studiowałem muzyki, nie ukończyłem żadnej szkoły

muzycznej. Śpiewałem w kościele, jak byłem młody i to wszystko.

To skąd Pana zainteresowania muzyczne?

Myślę, że to rodzinne. Zarówno ojciec, jak i matka śpiewali. Wujek z Włocławka grał na akordeonie. Muzyka zawsze gdzieś we mnie była. Gdy miałem 20 lat znalazłem jakieś pianino, zacząłem próbować i wyszło, udało się.

Czyli Pan i komponuje i pisze teksty, gra na pianinie i śpiewa?

Tak, wszystkie kompozycje i teksty są moje i staram się je też wykonywać.

W 1995 roku założył Pan zespół „Jeszcze raz". Czy wcześniej, zanim powstał zespół też zajmował się Pan muzyką?

Zacząłem zajmować się muzyką profesjonalnie w latach 90. Nie byłem żonaty, nie miałem dzieci, byłem sam, miałem już 40 lat, więc pomyślałem, że zamiast szukać jakiejś dziewczyny, zajmę się się na poważnie muzyką. Na pewno mniej kosztuje. Zacząłem od bluesa. Poznałem muzyka, który grał na kontrabasie, on mi zaproponował wspólne granie, a ja się zgodziłem. Za jakieś 3 lata przygotowywaliśmy się do występu w Montrealu i nie mieliśmy

żadnej nowej piosenki. Ja miałem taką piosenkę, nazywała się „Jeszcze raz”, napisałem ją jakiś rok wcześniej. Koledzy mnie przekonywali, mówili „podczas prób, nie raz grasz taką piosenkę po polsku, spróbuj, będziemy mieli coś nowego”. Ja się trochę przestraszyłem, przecież nikt tu nie rozumie po polsku. Ale dałem się namówić. Pozytywna reakcja publiczności mnie zaskoczyła. Wtedy wszyscy mi mówili, ze to jest ten temat, żebym go kontynuował. Pomyślałem, że ja przecież czuję to co śpiewam. Blues to jest coś zupełnie innego. Nie jestem Murzynem, nie miałem takich problemów, jak oni, wiec dlaczego mam śpiewać o ich problemach. Ja mam swoje problemy od Polski poprzez Izrael do Kanady.

Czy poprzez muzykę opowiada Pan swoje życie?

„Pamiętam” była pierwszą płytą. Na niej jest zapisana historia mojej rodziny. Znalazły się tam opowieści przekazywane głównie przez mojego ojca od czasów wojny. Druga płyta ”Balagane” po hebrajsku „Balagan”, to jest już moje życie, moje sprawy. Piosenki po polsku nie mają żadnego podtekstu politycznego, po hebrajsku i arabsku mają. Przecież w Izraelu połowa ludności to Arabowie, więc wpływy kultury arabskiej są bardzo duże, a i konflikty się nie kończą.

Jakby Pan określił rodzaj muzyki, którą Pan komponuje?

Nazwał bym ją własnym stylem. Jest to taka mieszanka wszystkiego, trochę muzyki cygańskiej, trochę klezmerskiej, trochę jazzu.

Czyli to, co w duszy gra.

Dokładnie tak. Niektóre utwory, to piosenki-opowieści. Jest taka piosenka „Alte sachen” W Izraelu był mężczyzna, który sprzedawał stare rzeczy i wołał „alte sachen”. Pewnego dnia nie przyszedł. Pomyślałem, że może zgubił konia i teraz go szuka. I napisałem o tym piosenkę.



Nazywany jest Pan poeta-poliglotą.

Tutaj, jak ktoś nie mówi po francusku, to zaraz jest poliglotą Moja płyta jest płytą multikulturową, ale nie folklorystyczną. Ja nie lubię folkloru.

Jak liczny jest Pana zespół muzyczny?

Zwykle gramy w sześć osób. Jest to kontrabas, pianino, akordeon, klarnet, skrzypce, instrumenty perkusyjne i perkusja oraz gitara.

Czy spotkał się Pan z problemem w wypowiedzeniu nazwy zespołu?

Z punku widzenia marketingowego, to na pewno nie było dobre. Młodzi ludzie często mówią w skrócie „raz".

A skąd wzięła się ta nazwa?

Bo urodziłem się drugi raz. I po polsku śpiewamy, sto lat, sto lat, jeszcze raz. I te słowa same do mnie przyszły. Nie myślałem wtedy, że wydam płytę.

Czy wszystkie Pana płyty odzwierciedlają Pana życiowy bałagan, jak to sam Pan sformułował?

Na pewno tak. Moje życie to taki wielki bałagan i cały czas mnie zaskakuje.

Fotografie pochodzą ze strony:

Achilles i Hektor



Achilles i Hektor

Zdzisław Najder

Najstarsze w naszym kręgu kulturowym przykłady zachowań, które gotowi jesteśmy nazywać „rycerskimi”, znajdujemy w klasycznej literaturze greckiej. Przede wszystkim w *Iliadzie* Homera (VIII w. przed Chrystusem), ale również w pismach historyków i filozofów, zwłaszcza Arystotelesa (nauczyciela Aleksandra Wielkiego). W *Iliadzi*e na planie pierwszym widzimy dwóch herosów: Greka Achillesa i Trojańczyka Hektora.

Przed Achillesem stanął wybór: czy życie długie, spokojne, pełne zwyczajnych przyjemności – czy krótkie, wypełnione wielkimi czynami i uwieńczone sławą. Obozujący pod obleganą Troją bohater mówi:

> Nie ma stąd dla mnie powrotu – lecz sławę wieczną uzyskam.
>
> Jeśli do domu powrócę, do mojej ziemi kochanej,
>
> Sławy nie zyskam, lecz w zamian życie szczęśliwe i długie
>
> Los mi przeznaczy.

Podjęta przez Achillesa decyzja walki pod murami Troi stała się na zawsze symbolem pragnienia wielkości i chwały. Wybór Achillesa jest krokiem ku śmierci, a jednocześnie okazaniem jej pogardy.

Pierwsze słowa *Iliady* zapowiadają opowieść o „gniewie" Achillesa. Król Sparty Agamemnon, wódz oblegających Troję Greków, odebrał Achillesowi brankę Bryzeidę, przyznaną mu w uznaniu jego wspaniałych czynów. Achilles przyjmuje to nie tylko jako osobistą zniewagę, ale jako zaprzeczenie etycznego ładu. Duma, którą się unosi, nie jest wyrazem pychy, ale obroną zasad. Jest to „słuszna duma", ważny ideał antycznej Grecji. Półboskie pochodzenie Achillesa, siła, piękno, odwaga, sama ochotnicza obecność pod Troją i poniesione zasługi – wszystko to razem czyni go w pełni godnym okazywania mu czci. Gdyby się czci nie domagał, okazałby tym samym, że na nią nie zasługuje; więcej – że nie dba o zasady zdobywania czci i jej potwierdzania. Nagroda jest jak stopień generalski; kto ją odbiera – chce zdegradować zasłużonego. W końcu Agamemnon musi przyznać Achillesowi słuszność.

Hektor, syn króla Troi Priama, jest w poemacie postacią bardziej jednoznaczną niż liczni greccy bohaterowie. Nie jest najeźdźcą, walczy w obronie ojczystego miasta. Oto przykład wspaniałej bezstronności Homera, który jest przecież „Achajem", czyli Grekiem. Hektor wie, że rzucający mu wyzwanie Achilles jest nie do pokonania. Wie, co to strach: ogarnięty lękiem, ucieka przed Achillesem wokół murów miasta. Ale ma też świadomość, że czynna obrona jest jego moralnym obowiązkiem. Bohatersko staje do walki i ginie, pierwszy wzór wszystkich obrońców spraw przegranych.

Obaj herosi znają wróżby, opisujące ich przyszłość. I powiedziano im, że o ludzkich losach ostatecznie decydują bogowie. Ale jednocześnie zachowują się tak, jak gdyby wszystko, co robią, zależało od ich własnej woli. Mają świadomość swobody wyboru. Homer pisze o nich tak, jak gdyby znał dziewiętnastowieczne wywody deterministów, zaprzeczających istnieniu wolnej woli: wszystko w ręku bogów. Ale zarazem pokazuje swoich bohaterów jako ludzi w pełni odpowiedzialnych za własne czyny.

Oto istota greckiego widzenia świata, tragicznego i heroicznego zarazem: wiemy, że wszystkich nas nieuchronnie czeka śmierć – ale własnemu życiu, póki trwa, sami możemy nadawać sens. Przynajmniej wtedy, kiedy jesteśmy herosami, to znaczy, jak w polskim zwrocie, „kowalami własnego losu". Tylko tyle i aż tyle.

_____

Inne artykuły Zdzisława Najdera na Culture Avenue:

http://www.cultureave.com/ojczyzna/

http://www.cultureave.com/honor-i-ojczyzna/

http://www.cultureave.com/trwac-przy-zasadach/

http://www.cultureave.com/ksiaze-tulacz/

http://www.cultureave.com/pulkownik-jozef-beck/